

WYJŚCIE Z CIENIA

Nie pamiętam jak długo szedłem w deszczu, zanim nie potknąłem się o jej nogi. Nie potrafię sobie też przypomnieć dnia którego to się wydarzyło, choć wracałem wtedy z uczelni, a przecież wiem, że na wykłady chodzę tylko cztery razy w tygodniu. Stawiałbym więc na czwartek, jednak jutro powiem, że to był piątek. Równie dobrze cała ta sprawa mogła mi się przydarzyć w poniedziałek – wszystko co nowe i straszne dzieje się właśnie w poniedziałki.

Była niczym manekin. Kobieta leżała przy wiacie przystanku autobusowego twarzą do chodnika, w połowie schowana pod dachem, w połowie odkryta na deszcz i ścieki spływające rynsztokiem w dół ulicy. Jej nogi były uwalone śmieciami i błotem, dlatego ich nie zauważyłem, wypieprzając się następnie na ziemię.

Torba, w której trzymałem rzeczy z uczelni, ześlizgnęła mi się z ramienia i wpadła w cały ten szlam na ulicy. Ze środka wyleciały książki, większość z nich na deszcz, w błoto obok ciała kobiety.

Zakląłem i rzuciłem się do ich zbierania.

Na przystanku autobusowym stało więcej ludzi, lecz wszyscy byli zgaszeni. Było to normalne w miejscach publicznych, gdzie nikt nie chciał się nawzajem oglądać. Ciemne kontury ludzi zlewały się ze sobą, tworząc jednolitą masę, nie mogłem więc policzyć jak wiele osób czekało na autobus. Nie podejrzewam nawet, by ktokolwiek z nich zwrócił na mnie uwagę, bo kiedy upadłem nikt nie podszedł, żeby mi pomóc.

Ja postąpiłbym podobnie i na ich miejscu też bym nie pomógł. Po to przecież możemy się wygaszać, żeby nie angażować się i nie brać odpowiedzialności za czyjeś wypadki.

Całe ubranie miałem uwalone gównem. W dodatku było mi zimno, mokro i śmierdziałem. Niepotrzebnie zbierałem swoje rzeczy z ziemi, bo książki z uczelni nie nadawały się już nawet na recykling. Byłem zły na nogi leżącej kobiety i na siebie, że jestem takim palantem. Całe szczęście, że byłem wygaszony, bo kiedy się denerwuję, to czerwienię się jak burak.

I nagle, stojąc tak na deszczu, upychając swoje rzeczy do torby i wyzywając siebie od pojebów, poczułem jak ktoś kładzie mi na ramieniu dłoń.

- To chyba twoje.

Odwróciłem się, a raczej podskoczyłem wystraszony, i zobaczyłem anioła w ciele młodej dziewczyny, wyciągającego w moją stronę *Podręcznik do psychoanalizy komórek jasnych i ziemnych*.

- Daj mi. To rzeczywiście jest moje.

Dziewczyna natomiast uśmiechnęła się.

Był to najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem i pierwszy, jakim ktoś mnie szczerze obdarzył.

- Torbę powinienes umyć zaraz po przyjściu do domu. Najlepiej włożyć ją do jakiegoś odplamiacza na kilka godzin. Tą ulicą spływa mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. A książki trzeba wysuszyć suszarką, albo położyć w jakimś ciepłym miejscu. Błoto i woda wyschną, jedynie kartki będą trochę pomarszczone.

I wtedy do mnie dotarło, dlaczego wziąłem ją za anioła. Dziewczyna nie była wygaszona.

- Ja ciebie widzę – powiedziałem, jakby to był mój komentarz do jej porady.

- No tak. - zarumieniła się. - Ja ciebie też.

Była to nieprawda, bo widoczna była tylko moja torba, a ubranie i ciało miałem ciemne jak powietrze w kopalni. Zaraz gdy przewiesiłem torbę przez ramię, jej materiał też się zlał z resztą garderoby. Wygaszacz czynił ludzką postać niewrażliwą na odbijanie promieni słonecznych, w konsekwencji człowiek przybierał ciemne, maskujące barwy. Urządzenie wygaszające miałem włączone niemal przez cały czas - miałem je dostosowane nawet do używania pod prysznicem. Wątpię, żeby Bóg pamiętał jak moja skóra wyglądała w rzeczywistości.

Zrobiło mi się przyjemnie na słowa dziewczyny, bo rozumiałem, że mówiąc o tym, że mnie widzi, była po prostu uprzejma. Ponadto była naprawdę piękna, chyba najpiękniejsza z kobiet, jaką widziałem. Kiedy się uśmiechała, kąci jej ust szły do góry, w brodzie pojawiał się mały dołeczek, nozdrza lekko się rozchyłały, źrenice stawały się większe, a brwi unosiły się do góry; włosy barwy prażonego karmelu zgarniała ręką za prawe ucho; jej usta nieznacznie otwierały się przy każdym wdechu i wydechu, poprzez rozpiętą kurtkę widziałem unoszącą się i opadającą pierś i nagle zapragnąłem jej dotknąć, ugryźć i posmakować.

Poczerwieniałem chyba jeszcze bardziej i jakoś cieplej zrobiło mi się w podbrzuszu. Moje zachowanie wydało mi się okropnie głupie, bo ona nie widziała gdzie spoglądają moje oczy, więc mogłem ją dosłownie rozbierać wzrokiem. Ona była odsłonięta, ja zakryty wygaszaczem. Poczuję się jak jakiś cholerny zbok.

Po chwili milczenia, kiedy nie powiedziałem i nie zrobiłem absolutnie nic, dziewczyna wzruszyła ramionami i odsunęła się ode mnie. Wodziłem za nią wzrokiem, zaciskałem z bezsilności pięści, cały aż dygotałem, jednak nie wiedziałem co mam zrobić dalej. Nie byłem w stanie działać. Wszak po to zostały wynalezione wygaszacze, by kiedy przyjdzie na to pora, człowiek nie musiał działać, tylko w komforcie, biernie, bez żadnej odpowiedzialności, obserwował bieg wydarzeń. Od zawsze ludzie uważali bycie biernym za wygodniejsze od bycia aktywnym. Bo dopiero kiedy działasz, to zaczynasz być widoczny, wyróżniać się z tłumu i

przyciągać uwagę, a nie wszyscy przecież chcą by oglądano ich nadwagę, pryszcze na twarzy, krzywy nos, czy zęza. Wygaszacze są więc rozwiązaniem problemów większości ludzi, którzy nie dość, że nie chcą pomagać i nie mają ochoty angażować się zbyt w życie, to jeszcze wolą pozostać skryci w bezpiecznym cieniu.

Natomiast dziewczyna była dla mnie zupełnie niezrozumiała. Nie dość, że stała na deszczu, nie była zgaszona (ona była w i d o c z n a), uśmiechała się, to jeszcze podeszła do ciała tej kobiety, o której nogi o mało co się nie zabiłem, i zaczęła je przeciągać pod wiatę przystanku autobusowego. To zupełnie zważyło mnie z nóg. Pozostałych oczekujących na autobus najwyraźniej także, bo usłyszałem zza pleców kpiące prychnięcia i śmiechy.

- Jak można współczuć... pomagać? ...szczyt niedojrzałości... co za arogancja...

Odwrociłem się, by spiorunować wzrokiem tego, kto śmiał drwić z mojego anioła, lecz zobaczyłem tylko czarną masę wygaszonych ludzi. Śmiać się mógł dosłownie każdy z nich, a ja i tak bym nie wiedział który.

- Pomożesz mi? - mój anioł nie miał tyle siły, by samemu przeciągnąć ciało pod dach.

Złapałem zatem za dłonie leżącej kobiety i zabrałem ją z deszczu na suchy kawałek ziemi. Dziewczyna odwróciła ciało na plecy i okazało się, że kobieta była martwa. Jej twarz wyglądała bardzo smutno. Naszła mnie myśl, że może szła na autobus, potknęła się o wystającą płytę chodnikową i skręciła kostkę. Potem próbowała się jakoś doczołgać pod dach, lecz tuż przy samym końcu drogi zabrakło jej sił i zmarła z wycieńczenia.

Po odwróceniu jej zauważyłem, że kobieta ma rozerwaną sukienkę i odsłonięty dekolt. Może wpadła pod samochód? Albo została zgwałcona? Podczas stosunku nie trzeba wyłączać wygaszacza, bo penis jak i twarz pozostawały ciemne niczym noc. Gwałciciel mógł zrobić swoje i odejść bezkarnie, mógł nawet stać obok mnie na przystanku autobusowym i zapinać rozporek, a ja go nie widziałem.

Nie myśląc długo (a raczej działając pod wpływem impulsu) zdjąłem moją kurtkę przeciwdeszczową i przykryłem ciało. Czulem, że postąpiłem właściwie.

Mój anioł objął mnie mnie, zupełnie zeszywniałego i otępiałego, i przytulił, mówiąc:

- To była naprawdę dobra rzecz, możesz być z siebie dumny. Mało kto odważyłby się na taki czyn. Proszę tylko żebyś nie pozostawał w tym stanie. Odważ się zrobić krok naprzód i wyjdź z ciemności, które cię otaczają.

Jej włosy pachniały wanilią, a bicie jej serca tuż przy moim przypominało mi o gorącej kąpeli w wannie, którą kiedyś, jako dziecko po powrocie z zimnego dworu, zażyłem w mieszkaniu moich dziadków.

Nie rozumiałem jej słów, a może nie chciałem ich zrozumieć, dlatego nic nie odpowiedziałem. Jeszcze dziwniejsza była chwila, w której dziewczyna ujęła moją dłoń i ją uścisnęła.

Reszta była jak sen, wszystko potoczyło się bardzo szybko. Pamiętam, że przyjechał autobus-widmo, pełen cieni i ludzkich mar. Zauważyłem go dopiero wtedy, gdy ochlapał mnie całego wodą – stałem tyłem do jezdni, tuż przy krawężniku. Dziewczyna zrozumiała, że jest mój, więc popchnęła mnie w stronę otwierających się drzwi, a ja jak głupi robot na sterowanie poszedłem. Zanim jednak znalazłem się w środku, włożyła mi do ręki jakiś przedmiot, mówiąc na odchodnym: „oddasz mi przy lepszej okazji”.

A potem ulewa rozszalała się już na dobre i wszystkie anioły uciekły gdzieś ponad chmury.

*

Od spotkania z dziewczyną minęły cztery miesiące. Rzeczy się pozmiały – słońce wschodzi coraz niżej nad horyzontem, powietrze stało się chłodniejsze, opłaty za wodę są coraz droższe, ulice się wyludniają, a właściwie to ludzie po prostu z nich znikają. Mówi się, że znikają ci, którzy już nie potrafią żyć bez włączonego wygaszacza. Lwia część populacji jest od niego uzależniona. Nawet gdyby jakimś cudem pozbyli się urządzeń wygaszających, to wciąż pozostałoby cieniami. Kiedy więc wychodzą w nocy na dwór, to wtapiają się w czarne niebo i znikają wraz z nim, kiedy nadchodzi świt.

Od kilkunastu tygodni nie wychodzę więc po zmroku na dwór. Boję się, że pochłonie mnie noc i nie wrócę do domu, a potem ktoś napisze moje imię i nazwisko obok tysięcy innych, którymi zapisane są tablice ogłoszeń w całym kraju:

zaginął przedwczoraj idąc po piwo na ulicy...

od dwóch dni nie była w domu, cechy charakterystyczne...

najdroższa córeczko kochamy cię!!! wróc do mamusi i tatusia!!

nie przyszedł z wieczornego spaceru z psem w miejskim parku

Piszę na ten temat pracę magisterską pod tytułem *Komórki ciemne jako negatywny produkt uboczny stosowania wygaszaczy. Prawda czy spisek dziejów?* Słowa klucze, czyli „negatywny”, „produkt”, „wygaszaczy” przysporzą mi lawinę kłopotów. Praca zostanie pewnie objęta cenzurą tuż po publikacji, a moje szanse na karierę na uczelni drastycznie zmaleją, ale

wcześniej mam nadzieję się obronić i zdobyć jakiś dyplom. Obawiam się jednak, że będzie to jedyne co zdobędę w całym swoim marnym życiu.

Gdybym zniknął to wątpię, żeby ktoś w ogóle mnie szukał. Pewnie by zauważono moje zniknięcie dopiero wtedy, gdy skrzynka na ulotki przy moim mieszkaniu pękałaby w szwach, albo ulatniający się gaz w mojej kuchence wysadziłby w powietrze pół bloku, w którym mieszkam.

Nie lubię opowiadać o tym, jaki to jestem samotny i nieszczęśliwy. Mam rodziców – gdzieś ich mam – ale zgubiłem tą parę na zakończenie któregoś roku szkolnego w gimnazjum. Weszli w tłum rodziców dzieci z całej szkoły i już nigdy z niego nie wyszli, mimo że szukałem ich z latarką chyba przez cały dzień. Głupiec ze mnie. Do zdania matury miałem też dziadków, którzy byli bardzo sympatycznymi staruszkami pamiętającymi dawne czasy. Byli staroświeccy i nigdy nie kupili wygaszaczy, a kiedy wreszcie to zrobili, byli już za starzy, żeby prawidłowo z nich korzystać. Pewnej nocy wyszli na dwór i zginęli pod kołami ciężarówki. Zapomnieli, że mieli te cholerstwa przez cały czas włączone.

Tyle o przeszłości. Mam szczęście, że dzisiaj tak dużo z niej pamiętam, bo zazwyczaj nie rozróżniam poszczególnych dni tygodnia.

Coś niedobrego zaczyna dziać się z moją głową. Kiedy zapada zmierzch, łeb dosłownie pęka mi w szwach. Nie potrafię się skupić podczas pracy w ciemnym pokoju. Cierpię na bezsenność. Nie chodzę już do piwnicy, bo po prostu nie mogę znieść widoku panującej tam ciemności. O przyniesienie konfitur muszę prosić panią Martin, sąsiadkę, na co ona kiwa głową ze zrozumieniem, mówiąc:

- Tak, mój Gregorij też taki był. Zaczyna się niewinnie, od takiego lenistwa jak u pana, potem dochodzi piwo, telewizor, brzuch wielki jak u słonia... tak przy okazji był pan ostatnio w naszym zoo? Poziom tej placówki spadł do zatrważającego wręcz poziomu. Po wybiegu dla małp lepiej nie iść dalej, bo pozostałe klatki zieją pustkami. Moja wnusia, Maria, jak pan dobrze pamięta, mówi, że przypomina to obraz jak po apokalipsie, a ja na to do mojej Anny, dlaczego ona uczy małe dziecko takich ordynarnych wyrażań?

Stara papla tak bez ładu i składu dobrych piętnaście minut, ale zazwyczaj przynosi mi z piwnicy konfitury.

Umówiłem się z lekarzem na wizytę w następny poniedziałek. Kiedy piszę te słowa jest wtorek, czwartek albo niedziela, bo nie byłem na uczelni, tylko pracowałem na zmywaku w chińskim fast-foodzie. Doktor telefonicznie zainteresował się moim problemem, sugerując, że może być to wczesne stadium czarnego raka, albo zwykłego schiza.

Kiedy to mówił, wyobraziłem go sobie jak wydłubuje brud spomiędzy zębów i przegląda opasłą encyklopedię najnowszych chorób.

Uprzejmie zapytał, czy nie miałbym nic przeciwko niezwłocznemu przeniesieniu do kliniki na Wyspie Zielonych. Wszystko oczywiście dla mojego dobra i moich bliskich, bo nie wiadomo jak sytuacja ze schizem potoczy się dalej. Grzecznie mu odmówiłem, argumentując, że najpierw potrzebne jest szczegółowe badanie, a dopiero potem możemy jeździć na pikniki za Miasto. Za nic bowiem w świecie nie pojechałbym na Wyspę Zielonych, do żadnej pieprzonej kliniki, bo w rzeczywistości jest to zakład dla najgorszych czubów i pojebów jakie chodzą po tej planecie. Jeśli kiedyś miałbym się tam znaleźć, to wcześniej wolałbym sobie włożyć spluwę do ryja i pociągnąć za spust.

Kilka dni temu policja wrzuciła na Wyspę całą armię świrów jacy grasowali po kraju, w większości byli to ludzie bez wygaszaczy, wiadomo, widoczni jak mucha na kartce papieru. To mnie od razu zastanowiło, czy i aby mój anioł też się tam nie znalazł.

W szufladzie pod biurkiem chowam prezent, jaki dostałem od tej dziewczyny na przystanku autobusowym. Czasami go wyciągam, żeby przypomnieć sobie uścisk, jakim mnie obdarzyła i zapach jej waniliowych włosów. Nie bawię się nim za długo. Traktuję go jak religijny artefakt, którym nie mogę cały czas cieszyć wzroku, bo inaczej rozsypie mi się w dłoniach.

Przez jakiś czas szukałem mojego anioła na liniach autobusowych w całym mieście. Jeździłem na jedną zajezdnię, mokłem na drugiej, przeziębiałem się na następnej. Poznałem chyba wszystkich meneli i ćpunów, jacy siedzą na przystankach autobusowych i wygrzewają tam swoje kościste dupy. Przepuściłem na nich też niemalą sumkę, żeby dowiedzieć się, czy nie widzieli mojej dziewczyny, i parę razy serce zabiło mi szybciej, lecz na koniec wszystkie informacje okazywały się naciągane.

Teraz to już nie ma sensu.

Nic nigdy go nie miało.

*

Idę chodnikiem, pada deszcz, jest zimno i ponuro. Śpieszę się na wizytę u doktora w sprawie mojej choroby. Mijam kolejne ulice, zaułki, skrzyżowania. Zderzam się z innymi cieniami, podobnymi do mnie, i zastanawiam się jak komicznie musi to wyglądać z góry – wszyscy, wyglądający tak samo ludzie, szturchający się, potykający, wpadający jeden na drugiego. Przewracam kogoś na ziemię i chciałbym powiedzieć temu komuś „przepraszam”, ale, do kurwy nędzy, mam wygaszacz i mogę sobie stać z boku i patrzeć się jak ten tłusciuch

podnosi się na klęczki, mogę wyobrazić sobie jak czerwieni się z wysiłku na twarzy, bo widzę, że brzuch ma nie od parady – a może to jest kobieta w ciąży? - po czym kolejny anonimowy pieszy uderza nieszczęśnika i ten znów pada na chodnik, słyszę jęk, i uśmiecham się z zadowoleniem, że mnie nie widać, że mogę się napawać czyimś cierpieniem i nic nie robić, bo nic mi za to nie grozi.

Czuję się podjarany jak za młodych, dawnych czasów.

Myślę o spojrzeniu na ten kabaret z wyższej perspektywy. Znajduję otwarte drzwi na klatkę schodową jakiejś kamienicy i wspinam się schodami do góry. Modlę się o to, by mojego grubego przechodnia ktoś znowu posłał na glebę. Chciałbym go zobaczyć i wyśmiać z góry, po czym schować się, albo stać nieruchomo, bo tłuścioch i tak by mnie nie zauważył.

Wychyłam się i spoglądam w górę klatki schodowej, widzę, że już jestem blisko dachu, i wtedy drzwi po mojej prawej stronie się otwierają, z jakiegoś mieszkania wypada niewygaszona kobieta i pada mi w ramiona.

Przypomina mi się sytuacja sprzed czterech miesięcy na przystanku autobusowym.

Babka krzyczy, prosi mnie o pomoc, szuka moich rąk szarpiąc mnie za krocze, a ja stoję w miejscu i próbuję zaciągnąć się zapachem jej włosów.

Z mieszkania, z którego wypadła, wylania się sylwetka mężczyzny o sporych gabarytach. Używa wygaszacza, lecz bez problemu dostrzegam zarys siekiery, którą trzyma oburącz. Wyobrażam go sobie, jako tępego, czerwonego na twarzy, łysiejącego tyrana, który nie potrafi już odczuwać żadnych ludzkich uczuć, oprócz miłości do butelki i wygaszacza.

Zabawne, bo to samo mógłbym powiedzieć o sobie kilka chwil temu

- Złapałeś tę sukę, hę? - odzywa się do mnie zachrypłym głosem, co przypominam sobie dopiero później, bo teraz staram się powąchać włosy kobiety – Ta kurwa mówi, że w pokoju jest jej za ciemno. Pizda sama nie jest ciemna, bo lubi, jak ten kutas z parteru patrzy się na jej cyce, kiedy się pieprzą.

Słyszę głos kobiety zza mojego ucha proszący o pomoc. W przelocie czuję jakiś zapach - czy to była wanilia?

Mężczyzna wymachuje siekierą i krzyczy w dół klatki schodowej, że zabije tego kutasa z parteru jak rozprawi się zaraz ze swoją starą.

Drzwi na dole się otwierają i słyszę prośbę, żeby cały świat poszedł się jebać.

- Weź ją za nadgarstki i weź je do tyłu. Możesz się o nią pocierać, kiedy będę najpierw objął jej buźkę. Poszczęści ci się to i jeszcze ta dziwka cię pomaca, cha, cha!

Myślę o tym kim jestem, że jeśli pomogę temu idiocie, to równie dobrze ja mógłbym trzymać siekiere w rękę i rąbać tą kobietę, wczepiającą się w moje plecy. Czuje że babka nie ma

paznokci i nie potrafię sobie wyobrazić jak mogło do tego dojść, że wszyscy staliśmy się obojętni na los bliźniego, nie obchodzi nas odpowiedzialność, troszczymy się tylko o własne dupy i o to, by zapamiętano nas z włączonymi wygaszaczami, by nikt nie mógł powiedzieć, że byliśmy na miejscu zdarzenia i nic nie zrobiliśmy, bo nie mamy już uczuć.

- Albo po prostu nie ruszaj się, sam złapię tą sukę.

Mężczyzna rusza w moją stronę i wyciąga rękę, wiem, że zaraz capnie swoją żonę, przyciągnie ją do siebie i rozsmaruje jej mózg po całej klatce schodowej. Dopisuję dalszą część historii i widzę go, jak wraca do domu, rzuca siekierę na podłogę i otwiera puszkę piwa. Nie wypija jej duszkiem, żeby zaspokoić pragnienie po wysiłku, tylko sączy ją łyżkami, bo zabicie żony było dla niego niczym zatłuczenie komara. Właściwie przy zabijaniu komara bardziej by mu puls podskoczył, niż przy mordowaniu żony.

Zmieniam bieg wydarzeń. Moja dłoń chwyta za przedramię mężczyzny, wykręca je, rozlega się chrzęst, wyobrażam sobie jego zaskoczenie i niedowierzanie. Wyczuwam od niego zapach alkoholu, jest podpity, więc podcięcie go i położenie na ziemię nie będzie niczym trudnym. Kiedy upada, ręka z siekierą zatacza łuk i zahacza o moją nogę. Ból czuję dopiero po kilku minutach, jak adrenalina ulatnia się z mojego ciała. Słyszę krzyk kobiety, kiedy następuję na rękę trzymającą siekierę i łamię ją w kilku miejscach. Wycie mężczyzny, krzyk kobiety. Chwytam siekierę i zamachuję się potężnie, po czym wbijam ją w podłogę obok głowy tego pijaka.

- Nie trafiłeś - mówi jego żona, jakbym tego nie zauważył.

Rozrywam koszulę pijusa, który patrzy się to na ostrze siekiery obok ucha, to na mnie, to na nią, to na mnie – chyba jest już trzeźwy. Po lewej stronie mostka, w miejscu, gdzie pod żebrami powinno bić serce, widzę kwadratową wypukłość. Wszyscy ludzie mają wygaszacze umieszczone w jednym miejscu. Nie mam pojęcia dlaczego akurat tam, nikt mi tego nigdy nie wytłumaczył, ale to diabelnie interesująca kwestia, którą potem zamierzam się zająć.

Czuję jak mój i jego wygaszacz przyciągają się do siebie nawzajem, bo są takie same. Czy ja jestem takim samym tyranem jak ten facet?

Wrywam wygaszacz z jego ciała, on krzyczy, a ja triumfalnie podnoszę urządzenie do góry. Przypomina włącznik światła na ścianie w moim domu. Ma nawet przycisk, którym się go uruchamia. Mogłem go przecież wyłączyć, a wyrwałem ustrojstwo prosto z ciała tego wariata. Po jego piersi spływa strużka krwi, lecz jest to tylko zadrapanie.

- Oto twój mąż - mówię do kobiety, która patrzy się na mężczyznę, jak na objawienie.

Niedoszły morderca przedstawia się całkiem inaczej, niż go sobie wyobrażałem. Jest łysy, owszem, ale nie jest czerwony na twarzy i bynajmniej nie tępy. Ma jajowatą głowę,

nierówny zarost, a na nosie oprawki okularów. Spojrzenie ma inteligentne, choć bardzo smutne. Ubrany jest w wypłowiałe jeansy i flanelową koszulę.

- Nie wiedziałam, że tak wyglądasz - stwierdza kobieta.

- Strasznie, prawda? - odpowiada facet popłakując. - Nie mogę spojrzeć na siebie do lustra, bo mam ochotę pociachać się żyłkami. Jestem taki brzydki. A kiedy widzę ciebie, jak obnosisz się bez swojego wygaszacza, jak nie przejmujesz się swoim wyglądem i opinią innych, to wtedy mam ochotę krzyczeć ze swojej bezsilności i słabości. Bo mi pozostaje wygaszacz!

- Victor. Ty... ja... ja się właśnie w tobie zakochałam. W takim jakim jesteś. Takiego cię pamiętam z naszej pierwszej randki, jak co chwila poprawiałeś te okulary na nosie i wycierałeś dłonie o materiał koszuli. Myślałam, że się zmieniłeś przez te wszystkie lata, kiedy cię nie widziałam. Ale ty jesteś nadal tak samo piękny jak za czasów liceum.

W istocie, facet był całkiem ogarnięty. Nie mam pojęcia czemu zachowywał się przed kilkoma minutami jak kompletny dureń. Czy to przez wygaszacz? Ja sam tak łatwo go oceniłem, mając w głowie zapisane pieprzone stereotypy, że ludzie z problemami mają ten sam wzór i wygląd.

Kobieta (miała na imię Sara, jak się potem dowiedziałem) schyliła się do swojego męża i objęła go za szyję – twarz wykrzywił mu paroksyzm bólu – po czym pocałowała go czule i namiętnie w usta.

- Przepraszam, że połamałem ci rękę. - powiedziałem - Zapłacę za lekarza.

Przestali się całować. Victor spojrzał na mnie, na mój cień, i uśmiechnął się. A była to najpiękniejsza rzecz, jaką dane mi było zobaczyć, zaraz po uśmiechu mojego anioła przed kilkoma miesiącami.

- Uratowałeś nam życie. Mam wobec ciebie dług wdzięczności i nie wiem jak zdołam ci go spłacić... nie ma chyba ceny za to, co zrobiłeś. Jestem do końca życia twoim przyjacielem, na dobre i na złe.

Najzabawniejsze jest to, że nie mam pojęcia co oznacza słowo przyjaciel.

Victor kontynuował:

- Wiem, że w mieście działa tajne podziemie ludzi nie używających wygaszaczy. Żyją jak za starych czasów. Słyszałem o nich od dłuższego czasu, ale dopiero dzisiaj, kiedy mnie obudziłeś, pomysł przyłączenia się do nich wydał mi się sensowny. Saro, pakuj rzeczy, idziemy do nich natychmiast! - potem spojrzał na mnie - A ty, mój przyjacielu, czy przyłączysz się do nas?

Od spotkania z Sarą i Victorem minęło osiem miesięcy. Od spotkania z moim aniołem rok. Nie pamiętałem w który dzień tygodnia się z nim widziałem, więc w rocznicę czekałem na tym cholernym przystanku autobusowym od poniedziałku do niedzieli – ze spaniem na chodniku, żebraniem od przechodniów, piciem z menelami, i całą resztą. Nie przyszła.

Nie obroniłem swojej pracy magisterskiej, nawet nie podszedłem do jej zdawania. Profesor, który mnie koordynował, po jej przeczytaniu wywalił mnie ze studiów na zbity pysk. Mam zakaz wchodzenia na uczelnie w całym kraju. Zatem w swoim życiu nie zdobędę już niczego. Pracuję teraz w tej samej knajpie co przedtem, dalej na zmywaku, przez wszystkie dni tygodnia, więc nie orientuję się już zupełnie jaki dzień jest jaki.

Okazało się, że cierpię na rzadką odmianę ciemnowstrętu. Mogłem się tego już wcześniej domyślić, bo kiedy już nadszedł ten dzień, że musiałem zejść do piwnicy (pani Marin umarła na zawał), zapaliłem wszystkie cholerne światła, jakie tam się znajdowały. I przestała boleć mnie głowa. W mojej pracowni, kiedy oprócz lampki biurowej zapaliłem lampę u sufitu, wszystko stało się okej. Gdy zapadał zmrok i w mieszkaniu robiło się ciemno, włączałem wszystko co tylko dało się włączyć, tak że mój dom przypominał solarium. Dzięki temu głowa przestała mnie boleć. Ceną za zdrowie były niewypłacalne rachunki za energię i szeptania sąsiadów za moimi plecami. Sądziili, że kiedy tylko jestem w swoim mieszkaniu, wyłączam wygaszac i opalam się nago w świetle jarzeniowych lamp. Również doktor, który ku swojemu rozczarowaniu nie stwierdził u mnie schiza, a ciemnowstręt, zwietrzył trop i doniósł na policję. Zawsze kiedy wychodzę z domu, widzę zaparkowany przy mojej ulicy ten sam samochód z przyciemnianymi szybami, z którego mam wrażenie ktoś mnie obserwuje.

Rządy państw, a naszego chyba najbardziej, likwidują jednostki, które nie chcą przystosować się do polityki ciemności. Protesty niewygaszonych są krwawo tłumione, ludzie są prześladowani i poddawani torturom. Fala przemocy ogarnia cały świat. A my wgapiamy się w ekrany telewizorów i dłubiemy w nosie, albo obcinamy paznokcie – oczywiście tylko na chybił trafił, wygaszeni i obojętni na wszystko.

Nie miałem za co spłacać rachunków za prąd, więc przenieśliem się do meliny i mieszkam w zupełnych ciemnościach. Głowa mi pęka od samego zamykania oczu.

Nadal jestem ciemny. Rozumiem, że spotkania z aniołem, Victorem oraz Sarą, miały mnie czegoś nauczyć. To była pewna lekcja życia, której każdy człowiek zaznaje przynajmniej raz w swoim marnym istnieniu. To taki moment, kiedy wszystko jest jasne i oczywiste, przed nami pojawia się droga, którą powinniśmy podążać, dostajemy taki wewnętrzny ogień i przemę

do przodu zapominając o tym jacy jesteśmy słabi, i jakie błahe ograniczenia hamowały nas wcześniej.

Ale ja za nic w świecie nie wyłączę swojego wygaszacza. Nie mam anioła, który przeciągnie mnie pod suchy dach, ani Sary, dla której będę najpiękniejszym Victorem na świecie. Żyję z samym sobą i nie jestem zdolny wyjść poza mrok, który mnie otacza. O to właśnie prosiła mnie Ona, prawda? Muszę zrobić krok naprzód.

Ale sam nie potrafię.

Wyjaśniła się sprawa znikających ludzi w godzinach nocnych, o której tak fantazjowałem osiem miesięcy temu. Była to zwyczajna fala samobójstw, spowodowana depresją z osamotnienia i anemii skóry. Cieniami nikt się nie przejmuje, wygaszone ciała są trudne do wykrycia, dlatego przez tak długi czas znikający ludzie byli fantastyczną zagadką. Szacuje się, że w wyniku depresji śmierć poniosło około miliard osób na całym globie, a to i tak są tylko oficjalne dane. Ludzie znikają nadal.

Może właśnie tak straciłem moich rodziców? Może wcale nie znajdowali się w grupie tych wysokich pań i panów, którzy bili brawo, gdy Garry, prymus szkoły, czytał swoje przemówienie na zakończenie roku szkolnego. Może oni po prostu wyszli stamtąd, zostawili mnie samego, i poszli nad rzekę. Chwilę stali w milczeniu, po czym skoczyli w rwący nurt trzymając się za ręce. Tak właśnie sobie ich wyobrażam, trzymających się za ręce do ostatniej chwili, chociaż nigdy nie widziałem ich z wyłączonym wygaszaczem .

Ja nie mogę złapać za rękę nikogo, dlatego od czasu do czasu chwytam za małe pudełko na mojej piersi.

I już dłużej nie mogę z tym żyć.

*

Dwa lata i trzy miesiące po spotkaniu z aniołem, rok i jedenaście miesięcy po zawarciu znajomości z Victorem i Sarą, maszeruję dzielnicami Miasta Ciemności jako jeden z tysięcy funkcjonariuszy wysłanych na ulice by tłumić bunty niewygaszonych i ich jawnych zwolenników. Wziąłem się za swoje ciało, zdałem wszystkie testy psychologiczne na poziomie bardzo dobrym, określając się jako zagorzały zwolennik wygaszaczy i pałający nienawiścią do wszystkich, którzy nie rozumieją tej przewspaniałej polityki naszego państwa, dzięki której każdy wyzbywa się odpowiedzialności i ma zagwarantowaną anonimowość wtedy, kiedy jest mu ona niezbędna. Przydzielono mi legitymację partyjną i numer agenta 453C – C jak Czarny. Służę narodowi przy rozpracowywaniu Jasnego Podziemia, pacyfikowaniu protestów, torturowaniu więźniów i

pomaganiu opornym odnaleźć ten właściwy tok myślenia, jaki powinni sobą przedstawiać dla reszty społeczeństwa. Jestem funkcjonariuszem policji bezpieczeństwa, jestem wygaszony i czuję się z tego powodu dumny. Okazuj mi szacunek, a ja zapomnę, że cię znam, nie będzie mnie obchodził żaden aspekt twojego życia prywatnego i zawodowego – dopóty, dopóki będziesz ciemny.

Jest czwartek, jedenasty kwietnia, dwutysięcznego dwudziestego czwartego roku. Dzisiaj mój oddział bierze udział w tłumieniu manifestacji na ulicach Miasta. Jutro będzie piątek – rozbijanie siatki podziemia. Potem sobota – poddawanie torturom Jasnych. Niedziela – odpoczynek, może dziwki. Poniedziałek – tłumienie manifestacji. Wtorek – głoszenie Jedynej Ciemnej Prawdy Objawionej na ulicach metropolii. Środa – znów tortury. Nauczyłem się pamiętać wszystkie dni tygodnia i jestem z tego powodu dumny.

Idziemy zwarci naprzód, kryjąc ławą ulicę, po której ma się odbyć ten pieprzony marsz przeciwników wygaszaczy. Według doniesień wywiadu, manifestujących ma być około dziesięciu tysięcy, choć skrycie mówi się, że przybędzie ich dwa razy więcej. Idioci wzniecają już zamieszki w całym kraju, w każdym cholernym mieście, zewsząd spływają doniesienia o Jasnej Rewolucji. Przez takich właśnie durniów giną tysiące, setki tysięcy, miliony nieświadomych ludzi. Moim zadaniem jest ich naprowadzić na właściwą ścieżkę znieczulicy, by dowiedzieli się, że stan obojętności daje człowiekowi najwięcej szczęścia. Osobiście jestem pewien, że tak właśnie jest. Jestem o tym przekonany.

Widzę wyłaniający się zza skrzyżowania tłum. Pada deszcz, jest burza, jest ciemno jak w dupie u Murzyna, a oni wszyscy się świecą, ich wewnętrzny blask jest straszny dla mojego oka. Moi przyjaciele z oddziału nakładają na oczy okulary przeciwsłoneczne, natychmiast robię to samo. Widzę przed sobą po prostu cele, wrogów społeczeństwa, których należy zlikwidować.

- Zatrzymajcie się! - ostrzega ich mój dowódca przez megafon. - Nie idźcie dalej! Poddajcie się i połóżcie broń na ziemi!

Idioci nie robią nic, tylko suną dalej do przodu, jak głupia fala, która nie wie, że na brzegu rozbije się o twarde skały. Nie wiem jak mój dowódca dostrzegł ich broń, bo ja żadnej nie widzę, ale jestem po prostu funkcjonariuszem, jestem wygaszony i wyzbyłem się wszelkiej odpowiedzialności za to co robię.

Dostajemy rozkaz, żeby strzelać z odległości pięciuset metrów.

Podnoszę celownik karabinu na wysokość prawego oka, kładę palec na cyngiel i przełączam na ogień ciągły. Widzę przed sobą masę, masę niewygaszonych, i dobrze mi z tym, że nie widzę ich twarzy z bliska. Kiedy podeszliby bliżej, pewnie trudniej by mi było zabić konkretnego człowieka.

Echo niesie wystrzały po całej ulicy. Biali padają jak muchy, falami, martwych znoszą na chodnik, potem idą żywi, padają, znoszą ich, żywi, i tak dalej, i tak dalej, aż na ulicy zostanie tylko paru niezdecydowanych głabów, których można potem z łatwością poddać indoktrynacji.

Dostajemy rozkaz, by iść dalej do przodu. Przeładowanie broni. Zmiana szyku. Zwarcie. Ruszamy.

Co zaskakujące, biali także idą naprzód. Widzę teraz ich bliżej, mają ręce podniesione do góry w geście poddania się. Nic nie mówią, Boże, czy to my maszerujemy tak głośno? Opuszczam karabin, kilku moich kolegów też nabiera wątpliwości, kiedy spostrzegają, że manifestujący nie mają żadnej broni.

Rozkaz. Strzelać ogniem ciągłym. Nie opuszczać karabinów. Przeć naprzód. Dla wrogów ludu i zwolenników wstydu oraz odpowiedzialności nie ma litości.

Zaczynam dostrzegać twarze ludzi, do których strzelam. Są już sto metrów od kordonu policjantów. Czy to Victor i Sara? Nie zdążam ich dokładnie rozpoznać, bo padają od kul, a ich miejsce zastępują następni. Tamci idą spokojni i uśmiechnięci, tak jakby śmierć bez wygaszaczy była jakimś przywilejem, jakimś prawem, jakąś wolnością, z której czerpią niewysłowioną przyjemność.

To jest nieprawda. To ja odnalazłem właściwą ścieżkę w życiu. Ja jestem człowiekiem szczęśliwym w swoim nieodczuwaniu, nie oni. To ja wybrałem dobrze, ja będę na końcu śmiał się z radości, nie oni. Jakim prawem pozwalają mi się zobaczyć, jaką czelność musi mieć człowiek, żeby wystawiać drugiego człowieka na takie tortury?

Mam zamknięte mocno powieki i strzelam. Nie spoglądam gdzie, po prostu koszę wszystko co nasunie mi się pod lufę. Nie myślę, boję się widzieć swoją odpowiedzialność, Boże, dlaczego oni nie chcą być wygaszeni?

Nagle czuję, że ktoś chwyta za lufę mojego karabinu – mimo że pociski cały czas na oślep zabijają ludzi – i obniża ją w dół, ku ziemi. Kto śmiał, kto miał tyle głupoty...!

- Możesz mi już ją oddać, odpowiednia chwila nadeszła.

Przede mną stoi mój anioł, patrzy mi się głęboko w oczy, mimo że mam włączony ten pieprzony wygaszacz i nikt nie powinien wiedzieć, gdzie mam choćby przszyte guziki do munduru. Ale ona jest aniołem, ona wie, widzi moje oczy, ja widzę jej, ale nie mogę wytrzymać tego spokojnego spojrzenia. Opuszczam wzrok w dół, pod nogi, patrząc się na trupy, które przed chwilą położyłem – Boże, czy naprawdę jestem takim pijusem? Dziewczyna nie zmieniła się ani trochę od spotkania przed dwoma laty na przystanku autobusowym, nadal jest tak samo piękna i fantastyczna, jakby istota z wymiaru mieszczącego się tuż obok naszego. Jej oddech, piersi, ciało, wszystko mi się przypomina, nadal mnie pociąga, odkrywam, że wciąż jestem w niej

zakochany, pomimo tego, że nie było jej wtedy, gdy najbardziej potrzebowałem czyjejś obecności, czułości i dobrego słowa.

Powtarza znów, że mogę jej już oddać.

Stoję w miejscu, kordon policjantów mija mnie bokami. Wyciągam tą rzecz, którą dziewczyna dała mi przed dwoma laty – niby tak dawno, a przecież tak mało się od tego czasu wydarzyło – i wręczam jej z powrotem do ręki.

- Nigdy jej nie zapaliłeś?

Mała latarka, którą jej oddałem, faktycznie nigdy nie była przeze mnie używana.

- Przez długi czas leżała schowana w szufladzie - mówię - Zamknięta na klucz. Po prostu chciałem ci ją kiedyś oddać, nie uszkodzoną. Miała być u mnie bezpieczna. Potem o niej zapomniałem, aż wreszcie ją znienawidziłem. Nosilem ją cały czas przy sobie, kiedy chodziłem tłumić manifestacje, żeby ci ją oddać. Wiedziałem, że cię tu znajdę.

- Nigdy jej nie zapaliłeś? - powtarza pytanie, smutno mi się przyglądając.

Kręcę przecząco głową.

- Gdybyś ją zapalił, pojawiłby się mój numer. Poza tym, do tego one służą. Do rozświetlania ciemnych miejsc.

W ogólnym hałasie nie słyszę strzału. Walił każdy z policjantów, na prawo i lewo, w górę i dół, dlatego nie widzę skąd padł ten strzał, po którym dziewczyna złapała się za szyję, rozerwaną przez zabłąkana kulę. Osuwa się na ziemię, lecz udaje mi się ją złapać, zanim roztrzaskuje sobie głowę o asfalt. Kładę jej policzek na moje uda, które pokrywają grube, kuloodporne ochraniacze. Anioł z nieba chodzący po ziemi, mający za zadanie uratować moje życie i wyprowadzić mnie z ciemności, umiera. Wołam medyka, lecz nikt mnie nie słyszy, nikt nie chce mnie słyszeć.

Potem wrywam z piersi wygaszacz, wstaję i krzyczę z rozpaczą o sanitariusza.

Widać mnie, kolejny cel, czuję jak seria z karabinu idzie po mojej nodze w górę, przez brzuch, po ramieniu. Siła strzałów odrzuca mnie na ziemię, uderzam głową o asfalt i tracę przytomność.

*

Czterdzieści jeden lat później czuję, że moje życie dobiega końca, dlatego biorę kartkę papieru i zapisuję swoje ostatnie słowa.

Gdyby słowa miały siłę sprawczą, opisałbym budowę maszyny do przenoszenia w czasie i cofnąłbym się do dnia, kiedy wracałem z uczelni i potknąłem się o nogi martwej kobiety, leżącej

na chodniku. Chciałbym spotkać jeszcze raz mojego anioła i nie pozwolić mu odejść, bo mam wrażenie, że on wiedział, co jest w życiu dobre, a co złe. Pragnę też mieć kogoś, dla kogo byłbym najpiękniejszym Victorem na świecie, choćby uważała tak jedynie Sara i nikt inny więcej.

Ja po prostu nie wiem. Natomiast bardzo chcę wiedzieć, że wybierałem dobrze; że wszystko co mi się przydarzyło miało jakiś cel i było pożyteczne. Nie mam pojęcia, czy zmarnowałem swoje życie, bo nikt mi nigdy nie powiedział, czym jest żal. Dlatego nie żałuję. Jednak boję się, że coś zrobiłem źle, bo w końcu nie mam z kim porozmawiać o nadchodzącej śmierci, o ludziach, których zabiłem, i o zapachu wanilii, który wciąż staram się odnaleźć. Nie wiem jak nazwać mój stan, nie wiem czy jestem smutny, czy wesoły, może szalony. Czy jestem za to odpowiedzialny?

Nie wiem. Na pewno jestem ciągle zgaszony.

Na cokolwiek innego jest już o wiele za późno.